Zielone powstanie
Jacek Hummel

Słońce zachodzi.
Za kilkanaście minut zrobi się ciemno. Stoję w oknie na pierwszym piętrze bloku i patrzę na pierwsze piętro bloku obok. Ostatnie barwy zachodu nikną. Widzę w oknie sylwetkę. To ona, moja Agatka. Czuję w gardle płacz, ale się powstrzymuję.
Widzę, że ona włącza latarkę i świeci w moim kierunku. Drżą mi dłonie, gdy włączam swoją. Agata podnosi snop światła i opuszcza. Staram się powtórzyć jej ruchy. Po kilku minutach wyłączamy światło i po prostu patrzymy na siebie przez te kilkadziesiąt metrów. Tak za nią tęsknię.
Słyszę dzwonek. Odchodzę od okna. Dzwonią na kolację. Schodzę razem z innymi, z całego bloku zostało nas może dwadzieścia osób, do mieszkania na parterze, gdzie dostaję kolację. Dziś na kolację jest porcja drożdżanki, płynu drożdżowo-grzybowego, pełnego witamin i białka, oraz dokładnie jeden płatek chipsów. Chipsy pochodzą z jednej z ostatnich paczek, które znaleźliśmy w bloku.
Rok temu Agata poszła do koleżanki na kawę i ciastko. Do bloku obok. Już nie wróciła. Mieszkańcy tamtego bloku wprowadzili nagle izolację, została po tamtej stronie.
Każdy chciał przeżyć, my też uszczelniliśmy nasz blok. Musieliśmy. Nie. Patrzeć. Na. Uczucia.
Ale przeżyliśmy pierwsze i ostatnie powstanie roślin. Szkoda, że nie zauważyliśmy znaków.
Dwa lata temu, pszenica, żyto, zboża zepsuły się. Ziarno było gorzkie w smaku, nie zawierało dużo białek i węglowodanów. Mąka z takiego ziarna doprowadzała

niektórych ludzi do halucynacji, jakby była zatruta sporyszem.
Potem, rok temu zaraza dotknęła ziemniaki. Zbiory się nie udały. Wszystkie dojrzałe ziemniaki były całe zielone. Ich miąższ zawierał bardzo wysokie stężenie solaniny, w dawkach śmiertelnych dla człowieka. Nie było sposobu usunięcia tej trucizny. Potem kukurydza, soja, owoce rodzaju jabłek lub bananów przestały być użyteczne dla nas. Przestawały dojrzewać, zawierały truciznę lub traciły smak, że nawet zwierzęta nie chciały jeść.
Po kolacji, zgodnie z harmonogramem, idę naładować akumulatory. Zamieniliśmy rowery i silniki elektryczne z odkurzaczy w generatory. Każdy z nas co drugi dzień musi przejechać kilkanaście kilometrów, aby naładować akumulatory. Prąd w gniazdkach pojawia się bardzo rzadko. Raz na kilka dni na parę godzin. Woda nieco częściej. Czasem słuchamy w grupkach odbiorników radiowych. Audycje są prowadzone bardzo rzadko. Częściej są to wiadomości wojska. Stąd wiemy, że i tak mamy szczęście, przeżyliśmy, żyjemy, trwamy.
Wielu ludzi zginęło w pierwszych dniach ataku roślin. Rośliny kwietne, róże, malwy, kasztanowce, jabłonie pewnego dnia, zamiast rosnąć, owocować, zaczęły produkować i wydalać neurotoksyny w takim stężeniu, że zabiły większość ssaków w Europie.
W pewnym sensie, szczęśliwie dla nas, neurotoksyny najpierw uderzyły z wiatrem w hodowle zwierząt. Krowy, świnie, nawet psy, blisko ziemi, pierwsze zginęły. To było chyba ostatnie ostrzeżenie dla ludzkości.
Pamiętam, żołnierzy w kombinezonach ochronnych rozwożących filtry, materiały uszczelniające, antytoksyny po gminach i powiatach, ostatni reportaż Telewizji Polskiej.

Wielkie ciężarówki pełne starego, kiedyś niepotrzebnego sprzętu, teraz odnawianego na cito i wysyłanego w naród.
Kończę jazdę na rowerze. Jestem strasznie zmęczony. Jedzenie nie daje nam tyle kalorii, ile potrzebujemy. Od początku kwarantanny schudłem. Czuję to po pasku, po ubraniach, po wystających żebrach. Idę do swojego mieszkania i kładę się na materacu. Patrzę przez okno. Nigdy w życiu nie widziałem tylu gwiazd w Warszawie. Nawet udaje mi się zobaczyć pas gwiazd, który wygląda jakby ktoś na ciemnej materii wylał mleko. Chyba to Mleczna Droga. W końcu udaje mi się zasnąć.
Rano śniadanie, znów drożdżanka, tym razem z odrobiną ryżu.
Wychodzę z puszką płynu i siadam na schodach. Powyżej i poniżej siadają inni mieszkańcy bloku. Dzieciaki krzywią się na smak drożdżanki. Po chwili kończę swoje śniadanie, to tylko szklanka białego płynu. Schodzę oddać puszkę do mycia. Na ścianie przy kuchni narysowany jest podział obowiązków. Zapomniałem, że dzisiaj przypada na mnie sprzątanie po śniadaniu.
Wchodzę do kuchni, zabieram wiadro i schodzę do piwnicy po wodę. Wodę odzyskujemy ze ścieków. Nie wystarcza, ale deszcze są już rzadko, a wodociągi, cóż, czasem ktoś pompuje wodę. Myje puszki, talerze i odstawiam na półkę do wyschnięcia.
Potem do kolacji mamy tylko dwa zadania, które regularnie każdy umie wykonać. Albo sprawdzamy okna, drzwi, czy nie ma szpar, czy izolacja wytrzymuje, albo przygotowujemy kolejną partię filtrów powietrza i wymieniamy zużyte. Zajmuje to nam może ze dwie godziny, ale filtry, izolacja to ratuje nasze życie.

W roku powstania roślin, jak mówiono w radio, zanim musieliśmy zamknąć się w blokach, na wiosnę, wszystkie drzewa pyliły tak mocno, że na ziemi zrobiła się warstwa pyłu grubości kilku milimetrów. Te pyłki były tak drobne i tak ich było wiele, że zatykały filtry powietrza samochodów. Z dnia na dzień samochody przestały jeździć. Jedyne pojazdy spalinowe były wojskowe. Nie wiem dlaczego, im dalej żyję w izolacji z tymi samymi ludźmi, tym mniej pamiętam, tym mniej mam ochoty coś robić.
Już w trakcie tego pylenia, zaczęliśmy uszczelnianie okien i drzwi. Pyłki dostawały się wszędzie i osadzały się na wszystkim jak taki niezwykle gęsty kurz. Zostawić otwarte okna, kurzu było na kilka centymetrów.
Tęsknię za Agatą.
Zostało nas w bloku może dwadzieścia osób, na ponad sto mieszkań. Wielu mieszkańców zmarło w trakcie ostatniego roku. Niektórzy od reakcji alergicznej, inni z wycieńczenia, z braku leków. Każdy kogoś opłakuje, rozpacza po stracie. Czasem wydaje mi się, że to nawet lepiej, że rośliny robią z nami, ludzkością, porządek. Nie jesteśmy wartościowi, sami egoiści, zapatrzeni w swoje życie, jakbyśmy byli królami, wszystko dla nas, nic dla innych.
Nawet ze sobą nie rozmawiamy. Z początku niektórzy chcieli współpracować, nawiązać kontakt z innymi blokami. Zostali zakrzyczeni przez większość, że po co, na co, teraz nie możemy ryzykować.
Nic już nas nie czeka. Śmierć, kiedy uszczelnienia zawiodą.
Ostatni atak przyszedł wraz z jesienią. To wtedy Agata poszła do koleżanki. Drzewa zaczęły zmieniać kolor liści na niebieski. Niebieskie liście, takie ciemnobłękitne, zamiast zieleni czy brązów. W radio mówili, że drzewa pompowały w liście toksyny i uwalniały je przez aparaty szparkowe.

Wydychały toksynami, które porażały układ nerwowy ludzi. Wystarczył oddech, może dwa, takim powietrzem albo dotyk opadającego liścia na skórze.
Wielu nie wróciło tego dnia.
Potem przyszła zima, klasyczny okres, gdy rośliny hibernują. Myśleliśmy, że będziemy mogli wyjść. Sąsiad z piętra wyżej wyszedł, już w grudniu. Już było zimno, opadłe liście przykryte były pierwszym śniegiem. Sąsiad założył maskę gazową z jakiegoś zestawu Obrony Cywilnej. Wyszedł na podwórze. Patrzyliśmy na niego przez brudne okna, najpierw z niedowierzaniem, a potem z radością, że wyjdziemy, że Agata wróci, że przetrwamy.
Wtedy sąsiad chwycił się za gardło. Zerwał maskę gazową. Nie widzieliśmy dobrze. Radio podało, że w zimę drzewa iglaste produkują toksyny, że jest mniej tych toksyn, bo drzew iglastych mniej, ale nadal jest niebezpiecznie na ulicach miast. Wojsko, jak podawali, dowiezie leki, żywność, materiały uszczelniające, filtry powietrza.
Parę tygodni później na ulicy pojawiła się zielona ciężarówka z naczepą. Wyszli dwaj żołnierze w takich kombinezonach jak przy zagrożeniu biologicznym, duże, oryginalnie białe, teraz szare, z szybkami zamiast maski gazowej. Podchodzili do każdego wejścia w bloku, stawiali taki namiot, że obejmował drzwi, wkładali kilka kartonów.
Też dostaliśmy takie kartony. Były tam kilka racji żywnościowych, trochę lekkich leków przeciwbólowych, i ulotki, żeby produkować własną żywność, żeby nie popadać w depresję, że Polska jeszcze wielka będzie.
Kolejny zachód słońca. Stoję w oknie na pierwszym piętrze bloku i patrzę na pierwsze piętro bloku obok. Widzę w oknie sylwetkę. Moja Agata. Widzę, że postać włącza latarkę i świeci w moim kierunku. Drżą mi dłonie, gdy włączam swoją

lampkę. Ale postać w oknie nie rusza tym światłem. Zasłania je czarną chustą, czy szkłem. Postać zostawia takie przytłumione światło i znika na korytarzu.

Nie mam, po co żyć.